Ciemność dopadła mnie przed czterdziestką – jakby znienacka ogromne skrzydło kruka zakryło słońce, zabijając jego promienie, nawet te najmniejsze, które nieudolnie próbowały uciec między piórami, a potem, ukarane za zuchwałość, umierały powoli pożerane przez mrok, podrygując bezradnie coraz to słabszymi błyskami, by w końcu stać się zaledwie świetlikami, konającymi w cichej agonii.

Przestałem wiedzieć, kim jestem, skąd przybywam i dokąd podążam.

Wokół nie było nic, tylko ciemność.

Bezmiar mroku, cichego niczym trup, aksamitnego jak suknia czarownicy, tchnącego chłodnym oddechem, gdzieś z dalekiej północy, otaczał mnie zewsząd.

Ilekroć wyciągałem przed siebie dłoń, natychmiast ginęła w bezszelestnej kurtynie ciemności, a gdy próbowałem za nią podążać, czyniąc pierwszy i kolejny, a potem tysięczny krok, nieodmiennie okazywało się to działaniem bezcelowym i prowadzącym donikąd. Wokół była tylko niezmierzona pustka, w której nie istniał nawet czas. Brodząc w mroku, powoli traciłem nadzieję.

Wtedy, maleńka zmarszczka pośród gładkiej czerni, niewiele wyraźniejsza od drobnej rysy na tafli lustra, pojawiła się nagle i znikąd, po mojej prawej stronie.

Jej obecności nie poprzedził nawet najcichszy dźwięk, czy choćby lekki ruch i niewiele brakowało, bym w ogóle jej nie zauważył. Patrzyłem na nią przez moment, niepewny, co powinienem zrobić, a potem ostrożnie dotknąłem palcem wskazującym. Była wypukła jak fałda kobiecej spódnicy, opinającej zbyt rozłożyste biodra. Nacisnąłem lekko zgrubienie, a wtedy ciemność zafalowała i utworzyła szeroki tunel, na końcu którego zauważyłem ruch: jaśniejszą, ledwie widoczną plamkę.

Bez namysłu wskoczyłem w czeluść, upatrując w poruszającym się punkcie szansy na zakończenie koszmaru. Biegłem ile sił, wytężałem mięśnie rąk, odpychając czerń niczym pływak walczący o miejsce na podium, choć nie wiedziałem, do czego podążam – wybawienia, czy może spotkania z potworem wypełzłym wprost z dziecięcych koszmarów i zmaterializowanym w głębokiej ciemności tylko po to, by mnie zabić. To było bez znaczenia. I tak nie czekało mnie tu nic, z wyjątkiem trwania i pustki.

Im głębiej zanurzałem się w tunel, tym bardziej maleńki początkowo punkcik zaczynał rosnąć i przypominać sylwetkę człowieka. W końcu rozpoznałem w nim poruszającego się niespiesznie starszego mężczyznę o siwych włosach, ubranego w zwyczajny, szary garnitur. Facet wyglądał trochę jak współczesny komiwojażer, zajmujący się dystrybucją nikomu niepotrzebnych artykułów.

– Zatrzymaj się! – krzyknąłem, gdy byłem już kilka kroków za nim.

Obejrzał się i zerknął na mnie. Miał twarz pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, a w bladoniebieskich oczach, które wyglądały jak niebo namalowane przez niewprawnego artystę zbyt rozwodnioną farbą, czaiła się pustka równie głęboka jak otaczająca nas czerń.

– Kim jesteś? – zapytałem, gdy w końcu go dogoniłem.

Milczał, nie przestając posuwać się naprzód.

– Kim jesteś! – Szarpnąłem mężczyznę za ramię. Odwrócił się bezszelestnie, a ciemność tanecznym wirem otuliła jego postać.

Byłem wstrząśnięty. Nie tyle jego widokiem, ile tym, że pierwszy raz odkąd się tu znalazłem, moja ręka trafi-

ła na materię, zbitą w namacalny kształt – konkretny układ atomów połączonych wiązaniami. Było w tym coś znanego, bliskiego i rozbudziło nikły jak pajęcze odnóże, ale jednak, cień nadziei.

– Powinieneś wiedzieć – odezwał się w końcu starzec, głosem przywodzącym na myśl szmer płynącej leniwie rzeki. – Jestem kimś, komu pozwoliłeś obudzić się z uśpienia.

– Pozwoliłem? Niemożliwe, nikomu na nic tu nie pozwalałem. Nie wiem nawet, gdzie jestem, ani jak długo błąkam się wśród tych cholernych ciemności. Zachodzę w głowę dlaczego. A Ciebie widzę po raz pierwszy.

– Wiem. I bardzo nad tym boleję.

– Znasz mnie? – zapytałem nieufnie.

Skinął głową.

– Przypomnij mi, kiedy się spotkaliśmy.

– Och, nigdy i zawsze – odparł enigmatycznie. – Ale na pewno przynajmniej raz, więc wiem, kim jesteś.

– Tyle na szczęście sam pamiętam. Nazywam się Thomas Hachett.

– A, tak... – Zamyślił się. – W istocie nazywasz się Thomas Hachett, ale tylko po części nim jesteś.

– A to ciekawe! – prychnąłem. – Kim niby jeszcze?

– Kłamcą.

– To nieprawda!

– Czyżby? – Posłał mi beznamiętne spojrzenie i znów ruszył przed siebie.

– Poczekaj!

Bałem się, naprawdę bałem, że jedyna namacalna w tym bezmiarze nicości istota odejdzie, lub jak baśniowa postać utkana z ziaren piasku, rozpadnie w pył i znów pozostanę sam, uwięziony w czerni. Nie wiedziałem, kim był. Może duchem kogoś, komu coś obiecałem i nie dotrzymałem słowa, może widmem bezimiennego człowieka, któremu, jako doradca finansowy, za ciężkie pieniądze udzieliłem kiepskiej rady. Nie wyglądał na dobrego kompana, ale na pewno w tym dziwnym miejscu był lepszym towarzyszem niż żaden.

– Poczekaj, proszę! – zawołałem ponownie.

– Dobrze. – Zatrzymał się. – Mów, co masz do powiedzenia. Rozmowa po latach milczenia może być niezwykle zajmująca, szczególnie, gdy domaga się jej sam kłamca. Nie próbuj zaprzeczać – uprzedził mój protest – ani obracać naszej rozmowy w żart. Nie mam poczucia humoru. I bądź łaskaw nie dociekać mojej natury.

– Zgoda – Przystałem na jego warunki. – No więc... Masz rację, parę razy w życiu skłamałem.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się coś w rodzaju zawodu. Wykonał ruch, jakby chciał odejść.

– No dobra! – powiedziałem szybko. – Nie parę. Często. Różnym ludziom. Właściwie, cały czas.

– Dlaczego?

– Bo wszyscy kłamią. – Wzruszyłem ramionami. – Od dzieciaka, który nie odrobił zadania domowego po prezydenta, ilekroć otworzy usta. Ludzie po prostu posługują się kłamstwem. Od zawsze. Mają je chyba we krwi.

– Po co to robią?

– Może dlatego, że boją się konsekwencji swoich czynów, albo żeby poczuć się kimś lepszym? Czasem dla władzy i utrzymania autorytetu... Po to, by zmusić kogoś do działania wbrew jego woli. Z zemsty, zazdrości i mściwości – recytowałem jak dzieciak wyuczoną lekcję.

Starzec potakująco kiwał głową. Niemal oczekiwałem, że zaraz wykrzyknie: C*orrect!* i wręczy mi Puchar Filozofa Ciemności. Ale on tylko zapytał monotonnym głosem:

– A dlaczego okłamują samych siebie?

– Tego naprawdę nie wiem. – Chyba zwyczajnie mnie przeceniał.

– Wiesz, tylko musisz sobie przypomnieć. Pomogę ci.

Cofnąłem się z wrażenia, bo twarz mężczyzny zaczęła przechodzić transformację. Zniknęły zmarszczki, skóra napięła się gładkością, kości policzkowe powędrowały do góry, zmieniając ostro zarysowaną, mocną szczękę w delikatny owal. Wąskie usta stały się zmysłowe, pociemniały bladoniebieskie oczy, a w końcu całą głowę otoczyła burza miedzianych loków, jaśniejąca w czerni niczym światło latarni morskiej na tle chmur w bezksiężycową noc.

Wydałem zduszony okrzyk. Znałem tę twarz.

Należała do mojej żony, Jillian, która stała teraz przede mną, ubrana w szary garnitur komiwojażera, patrząc tym swoim spokojnym, pełnym łagodnej czułości wzrokiem, wyzwalającym we mnie potężną falę tęsknoty, bolesną jak nagły skurcz serca. Razem z nią powróciły pierwsze wspomnienia.

Jillian promieniowała delikatną poświatą, która powoli rozsuwała mrok, aż w końcu z niedowierzaniem stwierdziłem, że stoję przed własnym domem, obok czarnego chevroleta suburban, trzymając w dłoni niewielką walizkę. Było ciepłe, jesienne popołudnie.

Przypomniałem sobie tę chwilę. I wiedziałem, co się stanie.

Stałem w absolutnym bezruchu, prosząc Boga, by moment *przed* trwał w nieskończoność. Chłonąłem pieszczotę słonecznych promieni, wsłuchując się z ekstazą w zwykłe odgłosy ulicy. Słyszałem terkot kosiarki naszego sąsiada, Teda, który, jak zawsze w piątek, z zegarmistrzowską precyzją przycinał ledwo odrośnięte źdźbła trawy, mając nadzieję, że dzięki temu zabiegowi wyhoduje najpiękniejszy trawnik na Wschodnim Wybrzeżu. Miarowe *pyr-pyr-pyr* mieszało się z piskliwymi głosami jego dzieci, Toma i Dylana, bliźniaków, kłócących się o jakąś zabawkę. Z dala docierał szum ruchliwej autostrady, położonej na wschód od naszego domu. Czułem delikatne powiewy wiatru, szeleszczące na podjeździe zeschłymi liśćmi, których nie miałem czasu nigdy uprzątnąć, i które każdej jesieni cudownie dematerializowały się rękoma Jillian. Wdychałem pachnące wilgotną trawą powietrze, orzeźwiające jak szklanka wody miętowej, wypełniona po brzegi kostkami lodu w upalny dzień. Przez tę ulotną chwilę, byłem w jedynym miejscu na ziemi, gdzie pragnąłem pozostać – każdego cudownego dnia.

Ale przeszłości nie da się zmienić.

Niewidzialny reżyser krzyknął: *Akcja!* i w progu domu pojawiła się Jillian.

Chwilę mocowała się z drzwiami, zanim wypchnęła na zewnątrz wózek inwalidzki, w którym siedziała nasza ośmioletnia córka, Sue. To świetny dzieciak, niczym nieróżniący się od rówieśników, ale do końca życia bez szans na postawienie choćby jednego, samodzielnego kroku.

Jillian miała na sobie tego dnia krótką sukienkę z cieniutkiej wełenki w kolorze dojrzałej śliwki, której rozkloszowany dół chętnie poddawał się podmuchom wiatru, raz po raz ukazując smukłe uda i od czasu do czasu pasek czarnych majteczek. Sue ubrana była w ciepłą bluzę oraz bawełnianą czapeczkę z nadrukiem tęczowego kucyka Pony. Jej nogi ochraniał biały kocyk w błękitną kratę. Jill ostrożnie sprowadziła wózek i stanęła przede mną.

– Musisz jechać? – zapytała, a w jej głosie brzmiała nadzieja na zmianę decyzji. – Obiecałeś Sue, że zabierzesz ją do Oceanarium. O niczym innym nie mówi od wtorku.

– Wiem. I jest mi strasznie przykro, ale nie mogę odwołać tego spotkania w Baltimore. Wiesz, za taki numer Mark wywaliłby mnie z roboty na zbity pysk. – Pocałowałem Jill w czoło. – A Oceanarium zobaczymy w przyszłym tygodniu, dobrze, młoda damo? – zwróciłem się do córki.

Była zawiedziona jak każdy dzieciak, któremu długo wyczekiwana przyjemność oddaliła się o kolejny eon, ale dzielnie przywołała na twarz blady uśmiech i skinęła głową.

– Dobrze, tato. A na razie weź, to... Żebyś nie zapomniał. – Podała mi wyciągniętą spod kocyka kartkę papieru.

To był rysunek. Przedstawiał dwie patykowato chude postacie, widoczne od tułowia w górę, trzymające się za równie patykowate ręce, obie wpatrzone w akwarium z kolorowymi rybkami, nad którymi unosiło się coś, co wyglądało na czarną jak smoła płaszczkę.

Złożyłem rysunek i wsadziłem do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Będę pamiętał – obiecałem, klepiąc dłonią miejsce, gdzie go schowałem.

Potem pocałowałem obie i wsiadłem do samochodu.

Prawda była taka, że nie jechałem do Baltimore na żadne spotkanie z nudnymi facetami i Mark nie miał z tym nic wspólnego. Czekała na mnie długonoga, obdarzona nieziemskim biustem May, o mózgu niewiele większym włoskiego orzecha, za to zawsze chętna podarować mi kilka chwili zapomnienia i oddechu od codzienności. Zamierzałem – jak zwykle – zabrać dziewczynę na kolację, a przez resztę skradzionego czasu pieprzyć się z nią na wszystkie sposoby, oglądając odbicia naszych nagich ciał w zamontowanych na ścianach i suficie jej sypialni, lustrach.

Gdy zatrzasnąłem drzwi samochodu, jeszcze raz spojrzałem na swoje dziewczyny.

Stały w promieniach jesiennego słońca, nadającego rudym włosom mojej żony ciepłe tony, przywodzące na myśl łagodny blask kominkowego ognia w zimowy wieczór. Obie uśmiechały się i machały mi na pożegnanie: dłoń Jill elegancko chwiała się jak kłos pszenicy na wietrze, ruchy rąk Sue przypomniały nerwowy trzepot schwytanych w pułapkę motyli.

Wiele razy odjeżdżałem, obserwując dwie znikające sylwetki w lusterku, a potem wciągałem w płuca haust wolności i wyrzucałem ich obraz z pamięci.

Jednak tamtego dnia, przekręcając kluczyk w stacyjce, poczułem się jak ostatni skurwysyn. Nagła iluminacja przeszywająca każdą komórkę mózgu, dająca myślom niespotykaną klarowność, sprecyzowała to odczucie: nie May, a Jill i Sue były moim życiem, tym nieskradzionym, wymagającym poświęceń, monotonnym, kurewsko trudnym, ale... prawdziwym. Wszystkie kobiety świata nie mogły dać mi tego, co one, i sam nie miałem

im nic do zaoferowania oprócz weekendowych erekcji. Oszukiwałem May, oszukiwałem Jill oszukiwałem siebie. Byłem żałosnym dupkiem.

Zdecydowanym ruchem wyłączyłem silnik. May będzie musiała zjeść kolację samotnie, za to Sue obejrzy jutro Oceanarium, a Jill dostanie tyle czułości, ile zdoła udźwignąć.

Sięgałem drzwi, gdy kątem oka zobaczyłem w lusterku jakiś ruch. Auto, lśniące czernią niczym skrzydło kruka zbliżało się do mojego chevroleta w niebezpiecznym tańcu. Widziałem wykrzywioną w grymasie twarz kierowcy, który bezskutecznie próbował je opanować.

A potem zgasło słońce.

Przy wtórze krzyków Jill i Sue, spadałem w ciemność, mając za towarzystwo migotliwe świetliki. Zanim zniknęły, przez jedną krótką chwilę czułem gorzki smak bezpowrotnej straty. Nigdy więcej miałem nie zobaczyć śliwkowej sukienki flirtującej z wiatrem ani usłyszeć śmiechu Sue, gdy podwodne stworzenia będą wykonywać dla niej swoje akrobacje. A gdy już wszystkie iskry zgasły, pochłonęła mnie ciemność, wolna od wspomnień.

Teraz znów w niej byłem, tym razem trzęsąc się z bólu i żalu, zaś starzec spoglądał na mnie bladoniebieskimi oczami z chłodną ciekawością badacza, obserwującego nieznaną mutację wirusa.

– Kłamstwo... – zaczął.

– Daj spokój – wykrztusiłem przez ściśnięte gardło, a mój głos zabrzmiał jak chrzęst kroków po żwirowej ścieżce. – I tak nigdy nie uwolnię się od wyrzutów sumienia...

– Zatem będziesz musiał nauczyć się żyć ze mną. – Uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd go poznałem, a wtedy nagły błysk rozdarł ciemność i wokół rozlało się jasne światło.

Z jego głębi wydobył się męski głos:

– Mamy go!

A po krótkiej chwili drugi, kobiecy :

– Ciśnienie w normie, akcja serca prawidłowa. Pacjent stabilny. Dobra robota!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Figiel, dodano 16.03.2018 13:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.